Nr 36. Kraków, 9 Września 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

X. Arcybiskup Karol Hryniewicki proboszczem w Tuchowie.

Dzielimy się z drogimi Czytelnikami nadzwyczajną nowiną. Oto w tych dniach został proboszczem w Tuchowie, w dyecezyi tarnowskiej, *Arcybiskup X. Karol Hryniewicki.*

Niejedna parafia w Polsce miała takich księży, którzy potem za łaską Bożą zostawali Biskupami, Arcybiskupami, a nawet Kardynałami, ale żeby proboszczem został gdzie Arcybiskup i to Arcybiskup przez Ojca św. bardzo kochany, a przez naród nasz cały ze czcią wspominany — to rzecz niesłychana dotąd i niewidziana. Jak do tego przyszło? jak się to stać mogło?

Długo i szeroko musiałby *Krakus* pisać i nie wiadomo nawet, kiedyby skończył, gdyby chciał, drodzy bracia, opowiedzieć Wam dokładnie, jakiego to prześladowania doznaje naród nasz i Wiara nasza św. pod schyzmatyckim rządem moskiewskim; gdyby chciał wyliczać, ile tam zniesiono kościołów, parafij i dyecezyj, ile zamknięto klasztorów, ile wywieziono na Syberyę księży, ile katuszy, ile mąk, ile cierpień zadano tam prostemu nawet ludowi katolickiemu, nie wspominając już o szlachcie. Powiemy zatem krótko, że taką samą ofiarą schyzmatyckiego prześladowania za Wiarę św. jest i obecny proboszcz w Tuchowie, X. Arcybiskup Hryniewicki, którego wizerunek, drodzy Bracia, widzicie.



Ciężka dola każdego katolika pod schyzmatyckim rządem moskiewskim, ale nikt prawie nie ma tam cięższego utrapienia od Biskupów. W nich przedewszystkiem godzi schyzmatyk, bo rozumie to dobrze, że uderzyć na pasterza, a owce się rozproszą. Nic też częstszego tam, jak to, że Biskupi na Syberyi, a dyecezye ich na łasce Bożej i opiece wytrwałych w Wierze św. kapłanów.

Kiedy po śmierci Piusa IX dzisiejszy Papież Leon XIII wstępował na Stolicę św., Arcybiskup warszawski X. Zygmunt Feliński, jego zastępca (sufragan) X. Biskup Paweł Rzewuski, Biskup wileński X. Adam Krasiński byli na wygnaniu, a tak ich dyecezye, jak inne, których Biskupi dręczeni także

w głębi Rosyi, pomarli, bez opieki pasterskiej. Usilne starania Ojca św. Leona XIII sprawiły to, że rząd rosyjski niewinnie wywiezionych Biskupów uwolnił, z warunkiem, żeby za granicę wyjechali, i dyecezye opróżnione na nowo obsadzić pozwolił. Skorzystał z tego natychmiast Ojciec św. i opróżnione stolice biskupie poobsadzał. Biskupem wileńskim został wtedy X. Karol Hryniewicki, a nastąpiło to w marcu 1883 r. Zgodził się schyzmatycki rząd moskiewski na to wszystko dla pozoru przed światem, ale w prześladowaniach swoich ani na chwilę spocząć nie myślał.

Dyecezya wileńska na Litwie od 20 lat Biskupa nie miała i w niejednym kierunku podupadła. Schyzmatycki rząd moskiewski dalszego jej upadku pragnął, a tu niepodobna mu było na nieobsadzenie tej jednej dyecezyi się nie zgodzić. Zgodził się więc, ale postanowił sobie nowego Biskupa albo na swoją stronę schyzmatycką przeciągnąć, albo co rychlej, jak poprzednika, w głąb Rosyi wywieść. W rzeczach świeckich X. Biskup Hryniewicki ulegał rządowi, ale co się tyczy Wiary, na krok ustąpić nie chciał i nie mógł, boć gdyby to uczynił, sprzeniewierzyłby się Chrystusowi Panu i Jego Zastępcy na ziemi, Ojcu św. w Rzymie, dałby wielkie zgorszenie wiernym, a o gorszycielach powiedział Zbawiciel nasz, że lepiejby im było, gdyby zawieszono kamień na szyi ich i wrzucono ich w głębokosci morskie.

Stało się więc to, co się stać musiało. Dnia 12 lutego 1885 r. porwali Moskale czcigodnego pasterza z pośród wiernych i wywieźli go w głąb bezdennego swojego kraju. Po dwu latach ciężkich rządów w dyecezyi, gdzie trzeba było się strzedz nawet własnego cienia, żeby czemkolwiek nie dotknąć niegodziwego schyzmatyka, rozpoczęły się teraz dla czcigodnego pasterza niemniej ciężkie czasy wygnania. Trudno opisać, czego on tam doznał, lecz niemniej trudno przedstawić żal wiernych po jego stracie.

W trzy lata potem nie mogli oni jeszcze bez rzewnych łez opowiadać *Krakusowi*, kiedy się między nimi znalazł, o swym najlepszym pasterzu i o strasznem jego wywiezieniu.

Ojciec św. nie mógł znieść krzywdy, jaka spotkała Kościół św. i czcigodnego pasterza. Zaczął więc znowu czynić starania u rządu rosyjskiego.

Uwolniono nareszcie po kilku latach czcigodnego Biskupa z ciężkiej niewoli, ale pod warunkiem, żeby natychmiast za granicę wyjechał i w Rosyi już się nie pokazywał.

Pod eskortą żandarmów jak złoczyńca do granicy odstawiony, udał się biedny tułacz do Rzymu do Ojca św. Przyjął go Ojciec św. serdecznie, bardzo serdecznie i niejednokrotnie długie z nim prowadził rozmowy, a na dowód, jak wierność jego, zasługi i cierpienia za Wiarę wysoko ceni, nadał mu godność Arcybiskupią.

Z Rzymu wrócił X. Arcybiskup Hryniewicki do naszego kraju i tu w różnych miejscach przebywał. Ale jakże mu siedzieć bezczynnie, jak nie pracować dla Winnicy Pańskiej, kiedy Bóg po tylu cierpieniach zachował go jeszcze przy siłach! Rozpoczęły się tedy starania, żeby gdzieś stale osiadł. Opróżnionej stolicy Biskupiej u nas nie ma, pozostawało zatem probostwo. Ale jakże tu Arcybiskupa i to tak wielce zasłużonego

Wysłuchana modlitwa ojca za syna.

Maciej Skiba był dość zamożnym gospodarzem. Pasiadał ładne koniki i bydełko, kilka morgów urodzajnej ziemi, a domostwo jego uchodziło za jedno z najlepszych i najpiękniejszych w całej wiosca. Uważano go więc ogólnie za człowieka szczęśliwego, jakim też w istocie był Maciej, bo Pan Bóg błogosławił jego uczciwej pracy, spokój i dostatek osiadly w jego domu. Lecz jak zawsze widziano Macieja z wypogodzonem obliczem, na którem malował się spokój i zadowolenie wewnętrzne, tak od pewnego czasu jakaś gruba chmura smutku osiadła na jego czole. Stał się milczącym, nawet praca nie szła mu tak raźnie jak dawniej, słowem zupełnie się odmienił. Ludzie różnie sobie tę zmianę w usposobieniu Macieja tłómaczyli; a że wielu jest takich, co chętnie o swym bliżnim źle mówić lubią, więc też tu i ówdzie różne było słychać głosy. Jedni twierdzili, że Skiba musi mieć coś na sumieniu i robak wewnętrzny nie da mu spokoju, pewnie kogo skrzywdził. Do tych, co tak sądzili, należał przedewszystkiem Wojciech Nicpoń.

— Ale tego tam znowu nie można powiedzieć, bo go przecież znamy — odrzekł Stanisław Slęczek — tylko oto widzicie, syn jego Walek upomina się staremu o grunt, a że to jakoś przykro iść na starość na wymowę i na swój garnek, więc mu to sęka zabiło do głowy.

— A bo syn jest niegodziwiec — przerwał rozsądniejszy Józef Wożniak — jak tylko przybył z wojska, tak się jeno ze starym kłóci, nic nie robi, a w karczmie ciągle siedzi. Toż nie inna jest przyczyna smutku poczciwego Skiby.

— Świętą prawdę mówicie — zakończył Maciej Jarzyna — już to mnie się zdaje, że z tego Walka nic dobrego pewnie nie będzie, bo tylko do kart i do karczmy zapalony, a do roboty ani rusz. Mój Boże! co się to z niego stało!

Ci dwaj ostatni gospodarze powiedzieli prawdę. Skiba miał tylko jedno dziecko, a ten był syn Walek,

robić proboszczem? Krwawiło się serce na samą myśl o tem Ojcu św., więc długo się wahał, ale kiedy Najczcigodniejszy Pasterz nie ustawał w prośbach o pracę wśród ludu wiejskiego na ojczystej niwie, zgodził się wreszcie.

Chodziło teraz już tylko o to, żeby jakieś probostwo znaleść, żeby rząd nasz na to się zgodził i prawo obywatelstwa austryackiego X. Arcybiskupowi Hryniewickiemu nadał. Z tem już nie było trudności. Najczcigodniejszy X. Biskup tarnowski *Łobos*, JE. p. Namiestnik hr. *Badeni* zajęli się tem bezzwłocznie i tak Tuchów dostąpił tego szczęścia niesłychanego, że w jednej osobie ma proboszcza i Arcybiskupa. Tego szczęścia winszuje *Krakus* z całego serca parafii tuchowskiej, szczęścia, którego mogą mu zazdrościć wszystkie parafie całej biednej ojczyzny naszej. A biedna zaprawdę ta ojczyzna, kiedy tak zasłużonych około Wiary św. synów swoich nie może lepiej wynagrodzić. *Krakus* ma nadzieję, że parafianie tuchowscy potrafią ocenić szczęście swoje, że cnotliwem życiem, gorącą wiarą i serdecznem swem przywiązaniem opromienią ciężkie życie Arcybiskupa, tułacza i męczennika za wiarę. Serdeczne niezawodnie będzie tam powitanie, ale nietylko tam: wszyscy włościanie polscy witają cię, Najczcigodniejszy Pasterzu, na tem miejscu z najgłębszą czcią, z największem uwielbieniem. W Chrystusie Panu naszym i Matce Jego Bolesnej nadzieja, że Cię tu już moc schyzmatycka nie dosięgnie, a gdyby chciała, to przejdzie chyba po trupach naszych. Cześć Najjaśniejszemu Monarsze Naszemu, bez którego woli nie mielibyśmy dziś tego szczęścia; cześć i Tobie, Najczcigodniejszy Pasterzu, żeś nami prostakami nie gardził, żeś na wzór Zbawiciela świata do nas maluczkich się zniżył!

Złe postępowanie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Żył gospodarz ze żoną, miał dzieci sześcioro;
Piętnaście morgów pola, bydełka kilkoro.
Krówki u niego były nieźle hodowane,
I para koni stało jakby malowane.
Miał także i chałupę, u sąsiadów sławę.
Lecz cóż, kiedy zanadto lubiał on zabawę!
Komu kuma trza było, to poszedł do niego:
Oj, cieszyła się bardzo jego żona z tego!
I pieniędzy na wódkę nie pożałowała,
A kiedy się napiła, tak sobie śpiewała:
„Ja sobie kumuję, mój Wojtuś drużbuje,
„Sąsiadaby rada, nikt jej nie werbuje".*)
Jeżli pieniędzy brakło, pić za co nie mieli,
To sobie ich w krakowskiej kasie pożyczyli.
Pożyczone pieniądze u Mośka zostały,
Bo pili za nie nieraz i przez tydzień cały.
Jak widać gospodarstwo mieli kiepsko w głowie;
Osobno pijał ojciec, osobno synowie,
I najstarsze dwie córki też osobno piły,
Ani ojciec ni matka w to się nie włożyli.
Jedynie te dwie córki, co za młode były,

*) Werbuje znaczy prosi.

---

którego jak najuczciwiej przy sobie do lat dwudziestu wychowywał. Był to chłopak piękny, rumiany i zuchwały, iż podobnego we wsi nie było. Oprócz tego cały dzień Boży widzieć go można było przy pracy, do niczego się nie lenił, do kościoła zawsze chodził i modlił się przykładnie. Lubiono go więc we wsi i szanowano, a dziewczętom to się już niezmiernie podobał. Mówiono więc we wsi, że Walek podał się po ojcu; taki zapobiegliwy, pracowity, skromny i dobry.

Taki był Walek przy ojcu do lat dwudziestu. W dwudziestym roku życia wzięto go do wojska. Z bólem serca i żalem niewymownym opuszczał dom rodzicielski i kochanego ojca; smutno mu było okropnie pożegnać tę wioskę, gdzie tak był szczęśliwym, Bóg wie na jak długo. Zapłakał więc Walek, kiedy go ojciec błogosławił na drogę. Dziwią się niektórzy, że ojciec lub matka płaczą swego syna, kiedy go do wojska wezmą. Powiadają: po co płakać i żałować, czy jemu tam źle będzie? obejrzy nieco świata, napatrzy się różnym obyczajom ludzi, ogładzi się, nauczy się wiele i jeżeli Pan Bóg pozwoli, to znowu powróci do domu. Wszystko to prawda, wróci! do domu. Ale czy wróci z temi samemi dobremi zasadami, z tem samem dobrem sercem i z tą samą myślą, z jaką opuścił dom rodzicielski? Są to niestety dość rzadkie wyjątki.

Otóż i Walek po kilkoletnim pobycie przy wojsku, powróciwszy do domu odmienił się nie do poznania. Dawna skromność gdzieś znikła, a na jej miejsce osiadła duma i zarozumiałość. Jak przedtem nie używał wódki, tak teraz po całych dniach wysiadywał w karczmie i pił bez upamiętania. Nietylko z ludźmi innymi, ale nawet z rodzonym ojcem obchodził się po grubijańsku i zawsze był gotów do przekleństw i kłótni. Udawał, że nie umie jak dawniej mówić czysto po polsku, ale jakoś szwargotać ni tak ni owak. Do roboty go ani rusz, a co najgorsze, że nigdy nie widział go ojciec, aby się zrana lub wieczór pomodlił.

Nie trudno więc teraz wytłómaczyć sobie przyczynę smutku poczciwego Macieja, na widok tej okropnej zmiany w usposobieniu syna. Ojciec widział w nim zawsze całą nadzieję i pociechę w starości, a tu naraz ów syn stawał się przez swe złe życie zabójcą jego

Te się tylko zabawą taką nie trudniły.
Niech wam dziwno nie będzie, że dzieci tak piły,
Bo pieniądze we skrzyni zamknięte nie były.
Jak im było potrzeba, wszyscy sobie brali;
Myśląc tak, że nie będą nigdy oddawali.
Znakiem tego, że grosza nikt nie pożałował,
Starszy syn całą stówkę miał, kiedy swatował.
Możeby to się komu nieprawdą zdawało,
To powiem, że pieniądze kilku rachowało.
Otóż starsze dwie córki wnet się pożeniły,
Miały huczne wesela, bo pieniądze były.
Chciał też ojciec ożenić syna najstarszego,
Ażeby przed swą śmiercią widział żonę jego.
Próbował w kilku miejscach nie darzyło się mu,
W końcu znalazł dziewczynę w dość bogatym domu.
Szczęście mu nie służyło; na dwa dni przed ślubem
Musiał się chudak zająć ojcowym pogrzebem.
Bo ojca pogrzebiono w poniedziałek rano,
A we środę synowi jego ślub dawano.
Ale i tak dość huczne było to wesele,
Mało smutku tam było, a uciechy wiele.
Po śmierci ojca dzieci tak samo hulały:
Wódkę piły co mogły, długu nie oddały.
Drugi syn nie był jeszcze ustalony,
Więc aż do szóstej wioski poszedł szukać żony.
Ojcowie córkę dali, bo sobie myśleli,
Że z niej będą bogatą gospodynią mieli.
On się tam chwalił: „Gdy mi dojdą lata,
„To połowiznę gruntu zabiorę od brata“.
Ale jak się ożenił, do domu z nią wrócił,
Jakże on swoją miłą żoneczkę zasmucił!
Bo dnia jednego komisya ze sądu zjechała,
I za dług nieoddany pół gruntu sprzedała.
Grunt ten kupił arendarz, co u niego pili;
Właśnie za te pieniądze, co tam zostawili.
Podzielili się gruntem, co jeszcze zostało;
Ale każde już tylko po morgu dostało.
Starsze siostry choć tyle z podziału zyskały,
Że zaraz po pomiarach swe części sprzedały:
Jedna sprzedała swoją część arendarzowi,
A druga odstąpiła młodszemu bratowi.
Niedługo i on także na tem gospodarzył,
Bo mu los nieszczęśliwy służbę gdzieś nadarzył.
Miał tam dużo wysłużyć, dostać dobrą strawę;
Przez to swój kawałeczek wypuścił w dzierżawę.
Pojechał gdzieś daleko, gdzieś do cudzej ziemi,
A jak się mu tam dzieje, my o tem nie wiemy.
Z dużego gospodarstwa mało co zostało,
Bo tyle pono, co się młodszym siostrom podostało.
Bo te, gdy swoje części w ręce już dostały,
Mając kawałek pola, za mąż się wydały.
Każda żyje szczęśliwie, dobrze gospodarzy,
Daj Boże! niech się choć im na tym gruncie darzy.

Jan Kukułka, rolnik.

Ze wsi Kamionny.

(Powiat Bocheński.)

(Dokończenie).

W naszym powiecie, Bogu dzięki, mamy teraz dobre drogi, nie tak jak to dawniej bywało, gdy przy-

---

szczęścia i widocznie torował mu drogę do grobu. Walek nic sobie z tego nie robił, że ojcu z każdym dniem więcej siwych włosów przybywa ze zmartwienia, jeno po całych dniach siedział za stołem w karczmie i stał się nałogowym pijanicą. Przyjaciół do kieliszka i do kart miał zawsze obok siebie pełno, a żyd, gdy nieraz niby wzbraniał się dawać wódki na kredyt, lub pieniędzy pożyczać, bo i to się zdarzało, to Walek dumnie zakrzyczał:

— Sakerlot nochamał, szczo to je? lebo to ja ne pan, cyj to jest gront, a dom, a śkapy? jak zechcę, to teraz głajch (zaraz) szećko (wszystko) je mój w domu obrychterunk (dobytek).

I żydzi dawali pić, ile Walek zażądał.

Tak trwało kilka miesięcy. Razu pewnego przybył Walek, jak zwykle, pijany do domu, a widząc ojca srodze zasmuconego, zabełkotał, podnosząc rękę do góry:

— No holt, jo zrobim jutro ordynek, wyśtafirujem sem, pójdziem na sznapsa z moimi kamratami, jo pojmiem Holku, ożenem se, nie myślim być knechtem holt! jo pon!

I przy tych słowach mocno pięść zacisnął.

— Walku! — odezwał się ojciec ze łzą w oku — czy ty już nie masz Boga w sercu, że się chcesz zmarnić, a mnie do grobu wprowadzić!

— No, to mnie szećko jedno, co oni czekają — odpowiedział niegodziwy Walek, a zatoczywszy się bezwładnie na posłanie, zasnął snem twardym.

A wiecie wy, co Walek zamyślał zrobić na drugi dzień? Oto namówiony przez swych niegodziwych przyjaciół przy kieliszku i przez żyda postanowił nazajutrz oświadczyć ojcu, aby mu grunt oddał, a jeżeliby tego po dobrej woli nie uzyskał, to miał do upadłego się kłócić, a nawet może i co gorszego miał na myśli, aby tylko z rąk ojcu grunt wydrzeć.

Kiedy Walek rzucił się bezwładnie na posłanie i zasnął, upadł stary ojciec na kolana, a złożywszy ręce zawołał ze łzą w oku z głębi serca:

— Boże Wszechmocny zlituj się nademną i nad nim. Natchnij go o Boże dobrą myślą a daj mu upamiętanie i wysłuchaj prośby niegodnego grzesznika,

szło na przednowku jechać do miasta po słomę lub zboże, trzeba było wóz topić lub połamać, a konie pokaleczyć lub pozabijać i jeszcze w dodatku mało przywieść na furze. Na jarmarkach też trzeba drożej płacić zboże, bo choć go dosyć było w kraju, to dowóz tyle kosztował, że się go dokupić nie można było. Niech tam Pan Bóg da tym zdrowie, co koło dróg zaczęli robić, choć z początku to się ludziom nie podobało, gdy musieli wszystkie dni swej prestacyi sumiennie wyrobić. Gdy nasz dziedzic, p. Józef Ożegalski, jako delegat przed dziesięciu laty, porobił starania w Radzie powiatowej bocheńskiej, aby u nas robili nowe drogi, to na niego wygadywali, że chce przywrócić pańszczyznę, bo muszą darmo robić przy drogach, że tego dawniej nie było, a ludzie i tak żyli; on na to wszystko nic nie dbał, zachęcał ludzi to poczęstunkiem, to dobrem słowem, a robił i robił. Co roku prestacyjnemi dniami, które dawniej na marne szły, upaliliśmy kawał drogi i wyszutrowali, potem p. dziedzic postarał się po tym suchym roku o dwa tysiące zapomogi dla biednych ludzi i za te pieniądze zrobiliśmy taką drogę w trzech wsiach, że teraz każdy może do nas jechać z Bochni najokazalszą karetą.

Dzisiaj już u nas żaden człowiek nie mówi, że niepotrzebna droga, owszem każdy to chwali i chętnie swoją prestacyę odrabia, wiedząc, że jego robota nie idzie na marne jak dawniej. Mowią tylko sobie ludzie, czemu to dawniej nie zaczęło się tak robić, bo do tego czasu byłaby już od wsi do wsi szutrowana droga. My też tutaj z p. dziedzicem musimy zawsze w takim czasie wyznaczyć robotę koło dróg, że to nikomu z ciężkością nie przychodzi, robimy zaś tak: jak na wiosnę wszystkie pokończymy roboty w polu i ziemniak zasadzimy, to wtenczas bierzemy się do dróg, ludzie też mając czas, chętnie robią i po kilkoro na raz przysyłają z jednego numeru, aby sobie odrobić, kiedy jest czas po temu, dlatego też nie potrzeba nigdy egzekucyi, wszyscy chętnie co do dnia swoją prestacyę odrabiają, bo przyszli do tego rozumu, że nic tak nie jest dla rolnika potrzebne, jak dobra droga. Inaczej, co prawda, dzieje się w niektórych gminach i powiatach. Nie potrzeba daleko od nas jechać, tylko w powiat limanowski, tam się nie zobaczy ani dobrego mostu, ani dobrej drogi, wszędzie ogromne kamienie leżą po drogach, rowów nie ma, a środkiem drogi woda szoruje jak rzeka i wyrywa dziury. W zimie zaś nie odkopują śniegów i zaspy leżą, aż ich słońce nie roztopi.

Tego roku w marcu jechałem na jarmark do Tymbarku. W Rupnowie na środku drogi uwiązłem w zaspie długiej 100 metrów a głębokiej na 2 metry, o mało nie potopiłem koni, musiałem je wyprządz i z pomocą dużo ludzi wyciągnąć, wóz zaś ledwie w dwie godziny później przepchaliśmy przez zaspy. Nietylko mnie się to przydarzyło, ale wszystkim co wozami tą drogą jechali, co też to przy tem było obrazy Boskiej, bo każdy się naklął na miejscowego wójta, na zarząd drogowy, na Radę powiatową i na inżyniera, że tak nie dbają o porządek i wygodę ludzi. Niby żyjemy w jednym kraju, pod jednemi prawami, a nam się zdaje, gdy wjeżdżamy w powiat limanowski, że tam panuje jakiś inny rząd, co u nas już zrobiono i o tem dawno zapomniano, to tam jeszcze dzisiaj gorzej, jak u nas

---

którą za swem dzieckiem do Twego tronu zanosi; zmiłuj się o Boże, zmiłuj nad nami!

I pochylił się starzec ku ziemi i modlił się długo a rzewnie, a łzy czyste jak perły padały z ócz jego na ziemię. Powstał potem umocniony na duchu i położył się do łóżka.

Walek, zeszedłszy się na drugi dzień z kamratami w karczmie, zakrzyknął:

— Daj żydzie sznapsa! jeż je fain, dziś mój gront, a dom, a škapy i szećko!

— Wiwat! — wrzaśli kamraci.

— Ny, panowie żyją, bo panom wipada żyć, młode panowie, ale po jakiemu go stary ludzie zastępuję — odezwał się rudy żyd, spojrzawszy znacząco na Walka.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł Maciej Skiba. Jakiś dreszcz przeszedł Walka, bo wiedział, że ojciec nigdy do karczmy nie zagląda, lecz ze złością zapytał go:

— Co mię macie szpiegować, lebo to ja dyzenter? reks front marś! — i wskazał ojcu drzwi.

Zakipiała krew w żyłach Macieja, gdy to usłyszał, postąpił żywo ku Walkowi i z całej siły po raz pierwszy w życiu w twarz go uderzył.

— Ha, ha, ha — roześmiali się towarzysze — dasz się bić jak dziecko?

Zerwał się Walek z ławy, spojrzał groźnie na rodzica, a potem pchnął go tak silnie w piersi, że biedny starzec potoczywszy się runął jak długi w tył na podłogę. Jęknął nieszczęśliwy boleśnie i zawołał:

— O Boże ratuj mnie!

Uderzywszy Walek swego ojca, spojrzał po karczmie; nie było już towarzyszów jego, więc czemprędzej i on wyskoczył oknem na pole.

Przed karczmą było pełno ludzi; wszyscy chcieli Walka schwytać, ale on wymknął się im i uciekł. Słyszał tylko jakieś głosy i krzyki za sobą, lecz nie oglądał się, uciekał dalej a dalej. Choć wiatr z deszczem tamował mu ucieczkę, nie uważał na nic, brnął po błotach i bagnach, gdzie go oczy niosły, bo wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, jeno go dalej a dalej od rodzinnej wioski do ucieczki zmuszały.

I przybył wreszcie bardzo zmęczony i zziębnięty

było przed założeniem Rad powiatowych, na drogi wszyscy wyrzucają z pola kamienie, a przy reperacyi darnie, i powiadają, że naprawiają drogi, ale niech tam Pan Bóg broni każdego jechać po takiej reparacyi, jeżeli wozu nie połamiesz, koni nie okulawisz, to chcą z człowieka wszystkie wnętrzności wylecieć. Wprawdzie tamtejsi włościanie chwalą się, że kolo dróg nie potrzebują robić jak my, że im nikt za to nic nie zrobi, choć nie odrobią swej prestacyi, ale że im to nie wychodzi na pożytek, to więcej jak pewno, bo gdyby sobie porachowali połamane wozy, pokulawione konie, przy tem furmankę, na którą ani pół tego ciężaru nie wezmą, co my przy swych drogach, toby pewnie nie żałowali tych czterech dni prestacyi.

Wymagania od nas są też niezmierne. Wójt na wsi ma 12 złr. pensyi rocznie, za to musi być cały rok na uwiązaniu, bo jednego dnia żandarmy mają do niego interes, drugiego dnia komisya ze sądu, to fizyk, to weterynarz, to paszporta, to przyjdą kawałki ze Starostwa, to ze sądu, to egzekucye, to spory gminne, to jechać z rekrutami, dosyć, że nie ma czasu ani we dnie, ani też w nocy. Ja jeszcze jako umiejący pisać, to sobie jako tako umiem z tem radzić, potem też wybraliśmy naszego p. dziedzica na radnego w gminie, to nam też w trudniejszych rzeczach pomaga, łatwiej sobie też dajemy radę jak w innych gminach. Czytałem, że Sejmy o tem radzą, aby gminy połączyć z dworami, dobrzeby to było, aby się wszędzie tak zrobiło jak u nas, myśmy na to nie czekali, aby nam nakazywali takie połączenie z obszarami dworskiemi, tylko sami uznaliśmy to za potrzebne, bo przecież czem więcej oświeconych ludzi w Radzie sasiada, tem łatwiej coś mądrego uradzić, idziemy z panem ręka w rękę, bo wiemy przecież, że łatwiej dwom obalić z drogi kamień jak jednemu, ponieważ tak panu jak i włościaninowi jedna i ta sama bieda jako rolnikom dokucza, przeto we wszystkiem jeden i ten sam interes mamy, bo co nas boli, to i pana boli, a co nas cieszy, to i pana cieszy, jesteśmy tylko między sobą większymi i mniejszymi sąsiadami. Żyjemy tylko z tego, co nam Bóg da na tej świętej ziemi, którą uprawiamy, a którą pragniemy z całych sił w swych rękach utrzymać i przekazać ją w spuściźnie naszym dzieciom. Bo tam niech kto, co chce, gada, ale my i tak wolimy, choćby na małym kawałku gruntu się utrzymać u siebie, jak tam gdzie wędrować po za morza do Ameryki, bo to przecież już starzy nasi ojcowie mówili, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, ale gdy się tam zajedzie niby do tego obiecanego kraju, to dopiero się zobaczy, że nigdzie pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

Mamy i my tutaj między sobą takiego, co latał do Ameryki, gdzie był przez trzy lata, a teraz powiada, że woli tutaj jałowego ziemniaka między swoimi jak mięso między obcymi. Jest to dobry kowal, przytem umie też ciesiołkę, chłop mocny, każda robota aż mu się pali w rękach, tak prędko robi, ale i tak nie mógł tam wytrzymać, powiada, że tam musiał przez cały rok wstawać o trzeciej, wraz ze swym panem doić krowy i do późnej nocy ciężko pracować, ledwo tyle wypoczywał, co siedział przy jedzeniu. Brał 10 dolarów miesięcznie i wikt, powiada, że jak tutaj będzie tak twardo i tak długo robił, to jeszcze więcej może

---

do jakiegoś lasu. Już się zmierzchło, noc się zrobiła ciemna, a deszcz lał okropnie, już dalej nie mógł uciekać, bo nogi mu odmawiały posłuszeństwa. Zafrasował się Walek niezmiernie, jak tu noc w tak ciemnym lesie przepędzić; deszcz leje jak z cebra. Rozgląda się, aż tu stoi przed nim ogromny dąb wypruchniały. Bez namysłu więc schował się w to wydrążenie i tym sposobem znalazł wygodne schronienie przed burzą. Lecz jak straszne myśli przesuwały się Walkowi po głowie. Zdawało mu się co chwila, że jakiś dziki ku niemu się zbliża; to znów, że z wydrążenia dębu gady jadowite wysuwają się i żądłami chcą go dosięgnąć, drżał okropnie na całem ciele, jednak siedział w ukryciu. Aż tu naraz jakieś światło zobaczy.

— Już po mnie! to pewno zbójcy... lub pogoń, aby mnie schwytać; chciał Walek westchnąć do Boga o ratunek, lecz nie mógł, a światło zbliża się coraz bardziej i słychać jakieś głosy.

I stanęło w pobliżu dębu trzech mężczyzn, których Walek przy świetle dokładnie zobaczył. Czarno zarośnięci na twarzy, każdy z nich miał siekierę i kilka pistoletów za pasem. Walek na pół zawarł oczy, tak go te postacie przeraziły... byli to bowiem, jak się domyśleć łatwo, rabusie. Zobaczyli Walka... i jeden z nich, przybliżywszy się ku dębowi, krzyknął groźnie:

— Ktoś ty nędzniku!

Walek nie mógł słowa przemówić, lecz gdy ów czarny człowiek wymierzył ku jego głowie pistolet, odezwał się prawie umierającym głosem:

— Ja jestem Walek.

Rozbójnicy owi zadawali jeszcze dużo pytań Walkowi, zkąd się tu wziął, po co przybył, a kiedy Walek zeznał szczerą prawdę, jako uciekł z domu, uderzywszy ojca i t. d., rzekł najstarszy rabuś:

— Do domu nie masz po co wracać, a kiedyś jest w naszych rękach, to przystań do nas, masz siłę, u nas życie przyjemne; gdybyś nie chciał, to w łeb ci palnę.

I Walek przystał do szajki rozbójników.

(Dokończenie nastąpi.)

zarobić i prędzej się majątku dorobić. W Ameryce choć go tak dobrze płacili, ale często przychodził taki czas, że nie miał żadnej roboty, wtedy musiał wszystko przejeść, co zarobił i jeszcze głodu namrzyć. Tutaj zaś, gdyby go takie spotkało nieszczęście, to przynajmniej będzie między swoimi, którzy mu z głodu nie dadzą umrzeć, przytem oddycha swojem powietrzem, patrzy na swój rodzinny kraj, słyszy swoją ojczystą mowę i dzwony parafialnego kościółka, a na ostatku złoży kości swoje w ziemi, gdzie leżą ojcowie, a nie na obczyźnie. Może też Pan Bóg da, że kiedy mamy koleje, dobre drogi, to także będziemy mieli i własne fabryki i nasi robotnicy nie będą potrzebowali światami gonić za chlebem. Na nasze pokolenie trafiły najcięższe czasy, musieliśmy za ojców i dziadów drogi, mosty i szkoły budować, nasze dzieci już tak nie powiedzą jak my, co też to robili nasi ojcowie, że na nas wszystko spadło, bo będą choć coś mieli przez nas zrobione. Wypowiedziawszy choć w części to, co mi na sercu leżało, przesyłam Szanownej Redakcyi moje wyrazy szacunku.

Jan Nowak, wójt.

Wiadomości weterynarskie.

(Ciąg dalszy).

Dla uchronienia bydła od gzów zalecają obmywanie grzbietu odwarem piołunu albo aloesu, lub też odwarem liści orzechowych w occie. Środki te jednak mało co pomagają. Najlepszym środkiem ochronnym jest czyste utrzymywanie bydła, a jeżeli się bydło „gzi“, należy je wyczesać i dobrze wymyć.

Niektórzy smarują guzy tranem, terpentyną albo benzyną celem zabicia gąsienic. Sposób ten nie jest dobry. Gąsienice wprawdzie giną, ale pozostają w guzie i gniją, wskutek czego tworzą się ropnie, a te bydlęciu bardziej jeszcze szkodzą.

Najłatwiej usunąć gąsienice, wyciskając guzy palcami. Gdyby atoli otwór w guzie był za mały, należy go przed wyciśnięciem cokolwiek rozszerzyć. Po wyciśnięciu gąsienicy powinno się ranę dobrze wymyć, a guz szybko się zagoi.

c) *Giez owczy* najczęściej pojawia się w pobliżu lasów i krzewów. Jest on niebezpieczny dla owiec, gdyż wywołuje u nich tak zwaną „kołowaciznę gzikową“. Na brzęk owadu owce uciekają, albo i skupiają się, chowając głowy między siebie; inne znów kładą się i przyciskają głowę do ziemi. Owad jednak w bardzo szybkim locie, mimo chronienia się owiec, wbryzguje im w nozdrza bardzo małe włoskowate gąsieniczki. Owce wtedy wstrząsają głową, ocierają nos o ziemię lub przednie nogi, a nozdrza z tego tarcia są zaczerwienione i poranione. Gąsienice żyją w nosie, w jamach nosowych i w zatokach czołowych owiec, a przez cały czas swojego 9-miesięcznego tam pobytu, żywią się śluzem, który się wydziela z błon śluzowych w tych jamach. Z początku gąsienice są barwy białej i bardzo małe. Główkę mają uzbrojoną haczykami, a z ich pomocą posuwają się po błonie śluzowej. Przeobrażają się, a gdy dojrzeją, mają barwę żółto-brunatną z ciemnemi paskami na pierścieniach, których jest 11. Jeżeli mało gąsienic weszło, natenczas owce cierpią na lekkie zapalenie błony śluzowej nosa i zatok czołowych, często kichają, a z nosa spostrzega się wypływ. Gdy gąsienice znajdują się w znaczniejszej ilości w jamie nosowej i w zatokach czołowych i górnoszczękowych, natenczas objawy są o wiele cięższe. Owce wstrząsają głową, pocierają nosem o ziemię; wypływ z nosa obfity, oczy są zaczerwienione i załzawione. Chodzą chwiejnym krokiem, z głową spuszczoną, przyczem wysoko podnoszą nogi tak, jakby przechodziły przez wodę — nigdy jednak nie obracają się w kółko, jak to bywa przy prawdziwej kołowaciźmie. W dalszym przebiegu owce przestają jeść, chudną, ślinią się, zgrzytają zębami i giną w ciągu kilku (ośmiu) dni.

Ponieważ owady te roją się od połowy lipca do końca września, zalecają przeto, gdzie można, nie wyprowadzać w tym czasie owiec na pastwiska leśne, na których właśnie roją się gzy.

Środkiem leczniczym jest tabaka albo sproszkowany korzeń białej ciemierzycy. Leki te wkłada się lub wdmuchuje za pomocą piórka zwierzętom do nosa. Owce kichają i w ten sposób wyrzucają gąsienice. Jeżeli jednak gąsienice znajdują się w zatokach szczękowych lub nawet rogowych, objawy choroby są groźne, a środki pobudzające do kichania nie pomagają. Usunąć można je tedy tylko operacyjnie, za pomocą otwarcia jam czołowych, lecz i to częstokroć zawodzi.

2. N a r z ę p i k i są to owady dwuskrzydlne, które się tem odznaczają, że mało biegają i niezgrabnie. Nogi silne i krótkie uzbrojone są pazurami, za pomocą których szybko się poruszają po skórze zwierząt. Owady te pojawiają się najczęściej w miesiącach letnich i z początkiem jesieni na pastwiskach, położonych w pobliżu krzaków i lasów. Owady te żywią się krwią zwierząt, czepiając się skóry.

Najbardziej zwierzętom dokuczają:

a) *Narzępik koński* napada najczęściej konie i bydło, rzadziej psy, u których przebywa pod brzuchem w pobliżu odbytu pod ogonem. Swędzenie, kiedy się porusza po skórze i ukłucie, kiedy wysysa krew, niepokoi szczególnie konie.

Narzępik koński ginie po obmyciu koni odwarem liści tytoniowych, silnym ługiem i po natarciu rozcieńczoną benzyną.

b) *Owczyca* żyje w wełnie owiec i wysysa im krew. Gdy występuje w znaczniejszej ilości zanieczy-

szcza wełnę. Owce niepokoją się, trą się i wyskubują sobie wełnę, co przynosi uszczerbek.

Owczyca pojawia się u owiec na pastwisku, u owiec zaś trzymanych w stajniach i dobrze odżywianych prawie nigdy jej nie ma.

Najlepszym środkiem dla wytępienia owczyc jest strzyżenie wełny. Giną one także po wymyciu owiec odwarem tytoniu lub odwarem liści orzecha w occie. Zaleca się też mycie silnym ługiem.

3. Na pastwisku trapią i niepokoją zwierzęta ostatecznie *muchy*, *bąki* i *komary*. Zdawałoby się, że *muchy* tylko są natrętne — a zresztą zupełnie nieszkodliwe. Tak nie jest, bo czasem są przyczyną poważnego niebezpieczeństwa. Przenoszą one mianowicie zarodki chorób zaraźliwych zwierzęcych i stają się czasem przyczyną pojawienia się zarazy wąglikowej u zwierząt domowych, a nawet i u ludzi. Ze względu że muchy składają jajka swe w ranach i wrzodach, rany te jątrzą się i nie mogą się zagoić. Trzeba przeto rany otwarte zawsze starannie obwiązywać.

Bąki, szczególnie na pastwiskach leśnych, niepokoją zwierzęta donośnym brzękiem. Zwierzęta uciekają, gdyż ukłucia bąka, zwykle na brzuchu i między nogami, są tak silne, że krew sączy się z ran zadanych. Jest także gatunek bąków, który podczas lotu nie wydaje brzęku i podstępnie napada na zwierzęta, szczególnie na konie i żywi się ich krwią.

Na pastwiskach błotnistych i bagnistych pojawiają się najczęściej *komary* nieraz w znacznych rojach i trapią pasące się zwierzęta nietylko kłuciem, ale co więcej wpuszczaniem do ran zadanych płynu mocno piekącego, z czego powstaje silny ból. Komary żywią się krwią zwierząt, latają najczęściej nad wieczorem i w nocy, za dnia zaś w miejscach cienistych, w lasach i krzakach.

Aby zwierzęta ustrzedz przed natrętnością much, bąków i komarów najstosowniej jest obmyć je odwarem zielonych liści orzechowych gotowanych w occie lub odwarem tytoniu.

4. Zdarza się nieraz, że całe *roje pszczół* napadają szczególnie na konie i zapuszczają im żądła. Z licznych ukłuć, występują na ciele znaczne obrzmienia, a zdarzały się nawet wypadki, że zwierzęta wskutek tego ginęły. Jak powiadają pszczelarze, pszczoły drażnią się zapachem potu końskiego i dlatego nietylko napadają na konie, ale też i na ludzi, mających z końmi do czynienia.

W razie napadu pszczół, należy *natychmiast* zastosować okłady ługiem sodowym lub amoniakowym. Wskazane są też i zimne okłady. *(C. d. n.)*

Dumania Walentego.



Idziemy sobie wczoraj z Brzdękiem z Oświęcimia, a tu jedzie wójt z Podkamienia. Ogromnie się chłopisko ucieszył, jak nas zobaczył, więc bierze nas na furę i gadamy.

— Już wy, Walenty — powiada — to święte słowa piszecie w tych swoich *Dumaniach*.

— A cóż się wam tak spodobało? — zapytujemy razem z Brzdękiem.

— Różne rzeczy — powiada — ale najwięcej to, coście o tem *powszechnem głosowaniu* powiedzieli. Są tam i ładniejsze sprawy, ale nam Podkamienianom to teraz najwięcej na myśli stoi, bośmy tego powszechnego głosowania niedawno u siebie skosztowali.

— Jakże to było? — pytamy się zaciekawieni.

— Słuchajcie — powiada wójt — bo to rzecz ciekawa. Było to tak: Wiadomo już teraz wszystkim doskonale, jak dobrą rzeczą w gminie jest Kółko rolnicze i sklepik chrześcijański, jeżeli kto umie to poprowadzić. Porozumiałem się w tej sprawie z X. Proboszczem, z dziedzicem i panem nauczycielem. Ogadaliśmy wszystko, jak ma być, tak zwołuję ja Radę. U nas w Radzie gminnej nie brakuje rozumnych gospodarzy, więc uchwaliliśmy jednomyślnie Kółko i sklepik założyć. Kto miał przy sobie pieniądze, ten zaraz dał wkładkę, inni pozapisywali się, ile który da. Trzeba było tylko jeszcze w gminie rozgłosić, ażeby kto chce, do nas przystał i do drugiej niedzieli się wpisał. X. Proboszcz miał w niedzielę zachęcić ludzi do tego z ambony.

— A *Josek* z karczmy — powiadają Brzdęk — przeciw temu nic?

— Otóż to — powiada wójt — nieszczęście, żeśmy o *Josku* zapomnieli, a temu było dość jednego tygodnia, żeby wszystko na marne obrócić. Chodzi po ludziach najuboższych i najciemniejszych niby to po jakimś interesie (bo u niego zmyśleć co, to nie sztuka), a w rzeczywistości biega tylko dlatego, żeby Kółkiem i sklepikiem głupich zastraszyć. Rozpowiada, że ksiądz, dziedzic, nauczyciel i wójt chcą gminę w wielkie nieszczęście wegnać; że zakładają jakieś Kółko i sklepik, żeby z tego zyski ciągnąć, a na biednych ludzi wielkie ciężary wpakować. Naturalnie, rozruch we wsi stał się wielki, wszyscy biegną do *Joska*, czy to prawda, i jak tu na to poradzić. *Josek* już dobrze wiedział, jak to wszystko będzie szło, więc i dobrą radę na ratunek gminy przygotował.

— Moi gospodarze — powiada — pytacie się mnie o radę, a kto mnie biednego żydka będzie bronił, jak za to, że wam dobrze życzę, zacznie mnie prześladować wójt, dziedzic, ksiądz i ten przywłóka nauczyciel. Czy wy wiecie, czem to dla mnie pachnie? Co ja potem zrobię z ośmiorgiem bachorów?

— Ale, ale, *Josku* — powiadają uwiedzeni ludzie — my cię nie damy skrzywdzić, nas tu więcej, jak ich, tylko gadaj prawdę.

— No, kiedy tak — powiada *Josek* — to wam powiem krótko a pod sumieniem. Idźcie do wójta i powiedźcie mu, niech zwoła wszystkich do gromady, a jak nie, to mu ten sklepik rozwalicie. Czy wam jaką złą radę daję? Jak się większość gminy zgodzi, to niech będzie Kółko i sklepik, a jak nie, to nie. No, powiedzcie sami, czy *Josek* szachraj? czy *Josek* cygan?

— Jużci prawda — powiadają uwiedzeni chłopi — już spać nie mogą, naradzają się, *Josek* po wsi chodzi i pomaga im radzić, tego i owego częstuje, temu i owemu to i owo obiecuje, a wszystko po cichu, a wszystko w sekrecie.

Przychodzą nareszcie ludzie i żądają na gwałt, żebym wszystkich do gromady zwołał, bo tak a tak jest. Tłómaczę ludziom, perswaduję, niby wierzą, ale zgromadzenia ogólnego i powszechnego głosowania żądają. Gdybym był wiedział, że to *Josek* wszystko urządził, byłbym się na to nie zgodził. Ale ja o tem wszystkiem nie wiedziałem. Tak myślę sobie: Niema się czemu dziwować, ludzie nie wiedzą dobrze, o co tu chodzi i bez potrzeby się niepokoją. Na zgromadzeniu wszystko się im wytłómaczy i będzie jak najlepiej. Zapowiedziałem zgromadzenie i idę do X. Proboszcza. X. Proboszcz jak tylko o tem usłyszał, powiada wręcz, żem głupstwo zrobił. Idę do dworu, słyszę to samo; idę do nauczyciela, słyszę to samo.

— Co u stu kaduków, myślę sobie, czy ja już swojej gminy nie znam, czy co takiego?

Byłem trochę z tropu zbity, ale nie mogło mi się to w głowie pomieścić, żeby gmina nie miała już za nic mnie, dziedzica, nauczyciela i X. Proboszcza. Jeżeli kogo, myślę sobie, to przecież X. Proboszcza usłucha.

Zebrała się wreszcie ta narada. Ludzi huk, wrzawa, trudno przyjść do słowa, naszło się i bab wiele. Kazałem im odejść, wrzawa okropna! Na słowa X. Proboszcza przecież ustąpiły. Nastał jaki taki spokój, tak rozpowiadam, jak się rzecz ma, a wreszcie dodaję: „Moi ludzie! wybraliście mnie i radnych, więc pewnieście nam zaufali i macie to przekonanie, że zguby waszej nie pragniemy. Prócz nas jest też i X. Proboszcz, który pewnie nie stałby za nami, gdybyśmy co złego chcieli zrobić. Jeżeli, moi ludzie, nie pójdziecie za tymi, których wam Bóg dał za starszych i wy sami wybraliście sobie za przewodników, to kogóż słuchać będziecie? Czy może *Joska?*“

— Wójcie! — krzyknął na to Marek *Kłótnik* — co wy tu o *Josku* pleciecie? Czy nas tu zwołał *Josek*, czy wy? Przyszliśmy tu na wasze rozkazanie, a jakeśmy przyszli, to na to, żeby każdy powiedział, co myśli. O starszeństwie i przewodnictwie nie ma co tu pleść. Jakbyście czytali *Wieńca* i *Pszczółkę*, tobyście wiedzieli, że tylko ten starszy, kto ma więcej lat, a księża nie powinni się do niczego mieszać.

— Ja się z tem zupełnie zgadzam, co Kłótnik powiedzieli — krzyczy Olech Płytki — jakbyście wójcie czytali *Przyjaciela ludu*, tobyście taki ciemny nie byli. Wiedzielibyście odrazu, że wszystkie władze i zwierzchności są głupstwem, że tu nie ma nam nikt do rozkazywania, bośmy już wszyscy mądrzy i to, co powiemy, to ma być święte. Chcecie nas na współkę z księdzem, z dziedzicem i nauczycielem zgubić, ale niedoczekanie wasze!

— Moi dobrzy ludzie — powiadam — co wy też za głupstwa pleciecie na współkę z tymi redaktorami. To prawdą jest, że ten starszy, kto ma więcej lat, ale jakby ten miał rządzić, kto ma najwięcej lat, to mogłoby tak wypaść, że rządziłby nami najstarszy i najgłupszy pijak. Nie trzebaby wtedy ani nauki żadnej, ani mądrości żadnej, ani żadnej cnoty, ani też żadnych wyborów. Trzebaby tylko prowadzić dobrze metryki, a kto byłby najstarszy latami: żyd, luter, kalwin, katolik, czy poganin, dobry człowiek, czy łajdak, ten byłby księdzem, biskupem, Ojcem św., ten byłby wójtem, namiestnikiem i cesarzem. Każdy z tego widzi, jak na dłoni, nawet najciemniejszy, że tym redaktorom chodzi o to, żeby nie było żadnej władzy, to oniby wtedy dopiero byli górą, bo nie miałby kto ani ich, ani innych jakichkolwiek przestępców karać. Jeżeli starszy latami ma rządzić, bez względu na to, czy do rządów zdatny, to czemuż redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* nie słucha Biskupów naszych? przecież oni i wiekiem od niego starsi, nauki mniej nie mają, a łaski Bożej

chyba więcej, aniżeli on, posiadają, skoro Biskupami zostali. O redaktorze *Nieprzyjaciela ludu,* bo tak on się powinien nazywać, to nie ma nawet co mówić; tylko ciemni ludzie nie wiedzą, że każdy chłop i każdy dobry człowiek i katolik powinien od niego na tysiące mil uciekać.

— Ja o tych redaktorach nic nie mówię — gwałtuje Wawrzek Mech — bom słyszał, że to źli ludzie, ale czemu wy wójcie z radnymi chcecie nas zgubić?

— Zmiłujcie się ludzie — powiadam — gdzież miałbym ja sumienie albo radni was gubić. A jeżeli myślicie, że ja albo radni mogą być waszymi zdrajcami, to po cóż żeście nas wybrali? Jeżeliśmy ani ja, ani żaden z radnych waszych, jak długo między wami żyjemy, nie popełnili nic złego, nic nieuczciwego, to jakżeż możecie myśleć, że teraz dopiero wyrzekliśmy się Boga i wszystkiego dobrego?

Powstała na te słowa moje ogromna wrzawa. Baby myślały, że mężów ich ze skóry obdzieramy, więc znowu przypadły i hałas był taki, że nikt nikogo ani słyszeć nie mógł, ani żadnym sposobem zrozumieć.

Nie było już co robić, więc z radnymi odszedłem i to wszystko powoli się rozlazło.

— Więc ani Kółka ani sklepiku nie macie? — zapytujemy.

— Otóż słuchajcie — powiada wójt — co się dalej stało? X. Proboszcz ogłosił z ambony, że Kółko i sklepik będzie: kto chce, to niech do tego przystąpi, a jak nie, to nie. Powoli, powoli uspokoiło się wszystko. Zawiązaliśmy Kółko, założyliśmy i sklepik i dziś ludzie już wiedzą, kto ich przyjaciel, a kto wróg. Ale kiedym te wszystkie kłopoty przechodził, myślałem ciągle o was, Walenty, ciągle mi stały na myśli te wasze słowa, że powszechne i bezpośrednie głosowanie byłoby dobre, gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy i mądrzy, ale tak, jak jest, a i zawsze będzie, to niech nas od tego Pan Bóg broni.

— To jeszcze nic — powiadam — mieć do czynienia z jedną gminą, ale niech się ich zwali dziesięć, dwadzieścia i to każdy od dwudziestu lat albo i niżej, mężczyźni i kobiety! Ktoby wtedy przyszedł do jakiego ładu przy wyborach na posła?

— A ja wiem — powiadają Brzdęk — ktoby do ładu przyszedł. Wygraliby rewolucyoniści, bo ci mogą obiecywać wszystko i bez sumienia na wszystko rzucać błotem, co tylko jest święte i dobre, a w nas ludziach, jak Pismo święte powiada, wola jest skłonniejsza do złego, aniżeli do dobrego.

— O nietylko rewolucyoniści byliby wtedy górą — powiada wójt podkamieński — byliby wtedy górą także żydzi. Bo któżby za nich szynkował? Ktoby skradzione i złupione w rozruchach rzeczy skupował? Nie kto inny, tylko oni i dlatego to wszyscy ci burzyciele czy chcący, czy nie chcący, czy z wiedzą, czy bezwiednie nawzajem sobie pomagają.

Ubawił nas ten wójt tą swoją historyą... Ale nam go i żal było, bo to zacne człeczysko, a tyle biedy musiał zażyć przez nierozum ludzki..

Wiadomości polityczne.

Najważniejszą wiadomością jest ta radosna, że Najjaśniejszy Pan przy czerstwem zdrowiu bawi na manewrach od 3go września w naszym kraju. Nazwaliśmy tą nowinę radosną, bo wszyscy szczerze do Monarchy naszego jesteśmy przywiązani; zdrowiem Jego i każdem powodzeniem się cieszymy, a ilekroć mamy sposobność Go oglądać, radujemy się serdecznie. Pod zaborem rosyjskim doznajemy na każdym kroku tylko ciężkich upokorzeń i prześladowań, pod zaborem pruskim prześladowania i upokorzenia mniej, ale i tam narodowość i Wiara nasza święta w wielkiem jest upośledzeniu. Jedynie tutaj w Austryi pod rządami najzacniejszego z monarchów mamy te same prawa i swobody, co inni obywatele państwa. Więc jakżeż za to nie mielibyśmy być wdzięczni, jakżeż nie mielibyśmy naszego Monarchy czcić i kochać, a Jego obliczem się cieszyć?

Od granicy kraju aż do Rzeszowa przejechał Monarcha nocą, więc nigdzie na tej przestrzeni nie było uroczystego przyjęcia. Ale od Rzeszowa począwszy, już wszędzie aż do Jarosławia, gdzie Najjaśniejszy Pan zamieszkał chwilowo, witały Najdostojniejszego Gościa wszystkie władze i cała ludność z wielkim zapałem. Najwspanialsze powitanie zgotowano ukochanemu Monarsze w Jarosławiu. Dworzec kolejowy i miasto pięknie przystrojono. Tu na powitanie Najdostojniejszego Gościa przybył JE. p. Namiestnik hr. Badeni z wszystkiemi władzami miejscowemi; tu oczekiwał Najj. Pana Marszałek kraju książę Sanguszko, Najprzew. Biskupi przemyscy: Solecki i Pelesz, wielu posłów, obywateli, wójtów i całe mnóstwo ludzi z miasta i okolicy. Przybycie Najj. Pana oznajmiły strzały z moździerzy i okrzyki pełne zapału. Najj. Pan powitał wszystkich uprzejmie, a wypocząwszy chwilkę w koszarach wojskowych, gdzie chwilowo zamieszkał, udał się na Mszę św. odprawianą przez Najprzewieleb. X. Biskupa Soleckiego. Po Mszy św. udzielał Najj. Pan posłuchań. Na przemówienie Marszałka kraju księcia Sanguszki odpowiedział Najj. Pan w najłaskawszy sposób, a mianowicie temi słowy: „Szczęśliwy jestem, że się znowu znajduję pośród was, w kraju, który mi zawsze i przy każdej sposobności tyle składa dowodów patryotyzmu, w kraju, którego przedstawiciele, reprezentujący wszystkie klasy, z prawdziwym i głębokim patryoty-

zmem, mają na oku nietylko interesa własnego kraju, lecz także interesa całości Monarchii. Korzystam ze sposobności, aby raz jeszcze z tego powodu wypowiedzieć moje uznanie i cesarskie podziękowanie. Mój wyborny i szczególnie serdeczny stosunek do kraju, zawdzięczam mądremu i patryotycznemu postępowaniu jego przedstawicieli, ale przy tej sposobności nie mogę nie wskazać z zadowoleniem na znakomity, przezorny, silny i świadomy celu sposób, w jaki kraj jest administrowany. Jeszcze raz dziękuję panom, żeście się zebrali i wypowiadam nadzieję, oraz głębokie przekonanie, że mój stosunek do kraju nigdy się nie zmieni".

Mówiąc o administracyi czyli zarządzie kraju wskazał Najj. Pan na p. Namiestnika hr. *Badeniego*. Ogólnie zaś trzeba powiedzieć, że rzadko który naród w Austryi może się poszczycić tak serdecznem uznaniem Najj. Pana, jak to, które nas w tem Jego przemówieniu spotkało. A bo też posłowie nasi w Wiedniu i nasz Sejm we Lwowie rozumieją to dobrze, że należy zawsze oddać, co jest cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu. Daj Boże, ażeby Najmiłościwszy Monarcha żył nam w szczęściu jak najdłużej, a wszyscy ci, co nami rządzą, umieli zawsze zaskarbić dla naszego biednego kraju pomoc i serce monarsze.

W *Wyrcburgu* w Niemczech odbył się w tych dniach, nie *pierwszy*, jak u nas niedawno, lecz już *czterdziesty* z rzędu *wiec katolicki*. Jak katoliccy Niemcy z radością wiec nasz witali, tak poszły i na ich zebranie liczne telegramy z gorącemi życzeniami od naszych Dostojników Kościoła i osob świeckich. Wiec wyrcburski obradował prawie nad temi samemi sprawami, co i nasz. Z wdzięcznością zaznaczyć wypada, że na wiecu wyrcburskim poruszono także sprawę uciemiężenia naszego języka pod rządem pruskim, i wyrażono przekonanie, że każdy naród ma prawo od Boga mu dane, ażeby mógł własnego używać języka, w szkole, w urzędzie i wszędzie. Po sprawiedliwości cesarza Wilhelma II można się spodziewać, że zwolna spełni on te gorące życzenia ludności polskiej.

Moskwa jedna zatwardziała, jak kamień, u niej nic nie znaczą żadne Boskie, c cóż dopiero ludzkie prawa! Ale silniejszy Bóg, aniżeli schyzma! A skoro sam Bóg podniesie prawicę, żeby wymierzyć sprawiedliwość, przekona się schyzma, że On jest, i karać umie.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa".

Założce. (Archidyecezya lwowska). Dnia 19 lipca b. r. o godzinie 6 zrana podczas Mszy św. zdarzył się w szpitalu Sióstr Miłosierdzia, zamieszkałych w mieście Założcach, nadzwyczajny wypadek, czyli właściwie mówiąc prawdziwy cud, zdziałany przez św. Wincentego à Paulo, który sprawił wielkie wrażenie na wszystkich chorych, znajdujących się podówczas w szpitalu, i na wszystkich osobach zamieszkałych w Zakładzie.

Rzecz się tak miała:

Już kończy się czwarty rok, jak leży w tutejszym szpitalu Feliks Fedorowicz, liczący około 50 lat swego życia, obrządku ruskiego, mieszczanin ze Starych Załozic, dotknięty ciężką i nieuleczalną chorobą. Przez całe te cztery lata chory Fedorowicz nie wstawał zupełnie z łóżka, nie przyjmował sam żadnego pokarmu, ani napoju, tylko musiano mu przemocą otwierać usta i wkładać w nie pokarm lub nalewać napój, aby go utrzymać przy życiu, bo był zupełnie pozbawiony przytomności. Oczy miał ciągle zamknięte i przewrócone do góry; usta mocno zaciśnięte; nie przemówił przez cały ten czas do nikogo ani jednego słowa.

Otóż dnia 19 lipca b. r. w uroczystość św. Wincentego à Paulo, którego w tutejszej kaplicy solennie obchodzimy, jako Założyciela Zgromadzenia Księży Misyonarzy, Sióstr Miłosierdzia i Opiekuna ubogich, wdów, sierot i chorych, wspomniany wyżej chory Fedorowicz, gdy się już zbliżało Podniesienie w kaplicy, raczkuje na rękach i nogach jak małe dziecko przez całą salę, a w połowie drogi zapytuje chorych, czy daleko jeszcze do ołtarzyka urządzonego w szpitalu. Otrzymawszy odpowiedź, że już niedaleko, czołga się dalej. Wszyscy chorzy, znajdujący się od niejakiego czasu w szpitalu, a mianowicie: p. Władysław Jurkowski, strażnik ze straży pogranicznej (sparaliżowany), Tomasz Olender, gospodarz wsi Trościańca, Józef Górski, włościanin ze wsi Trościańca i Joachim Świetlik zdumieli się i osłupieli zupełnie na ten widok, a gdy Świetlik zapytał Fedorowicza, co robi? odpowiedział mu jak najwyraźniej, że idzie na odpust św. Wincentego à Paulo, który dziś przypada w kaplicy Sióstr Miłosierdzia. Zaledwie Fedorowicz przyczołgał się do ołtarzyka, w tej chwili otworzyły mu się oczy i zaczął głośno modlić się i odmawiać różne pacierze do św. Wincentego à Paulo i tak trwał na modlitwie przeszło pół godziny, oparty rękami na gradusie ołtarzyka. Po Mszy św., gdy ta wieść rozeszła się po całym Zakładzie, wszystkie Siostry Miłosierdzia, domownicy i wiele osób z miasta zgromadziło się przy łożu chorego Fedorowicza, który dziękował Siostrom Miłosierdzia za troskliwość i opiekę, podjętą około niego, i opowiadał, że widział we śnie św. Wincentego à Paulo, staruszka, ubranego w ubogą sutannę, który kazał mu się modlić i bardzo wiele bułek chleba. Potem prosił, aby mu dano różaniec i śniadanie, które pożywał już sam o własnych siłach. Przez cały ten dzień modlił się ciągle, siedząc w łóżku. Od tej chwili rysy twarzy jego zmieniły się zupełnie do niepoznania, oczy, które przedtem były ciągle zamknięte, zamglone i przewrócone do góry, przybrały ży-

cie; mówi wyraźnie i ma apetyt do jedzenia, tylko narzeka na ból w piersiach.

W końcu nadmieniam i tę okoliczność, że na ołtarzyku szpitalnym są ustawione trzy gipsowe figury, a mianowicie: po lewej stronie św. Józef, po prawej stronie św. Wincenty à Paulo, a w samym środku Matka Boska. Otóż nie wiadomo, czy to tak traf zrządził, czy też nadzwyczajne natchnienie, że chory Fedorowicz raczkował po tej samej stronie ołtarzyka, na której jest umieszczona figura św. Wincentego à Paulo, chociaż powinien był odbyć swą pielgrzymkę po przeciwnej stronie, przy której stoi jego łóżko.

Opisałem sumiennie całe to zdarzenie, które w razie potrzeby może być stwierdzone przysięgą czterech wspomnianych wyżej naocznych świadków. Trzy Siostry Miłosierdzia, a mianowicie: S. Feliksa Lewicka, S. Marya Pozorska, mieszkające obecnie w Krakowie przy szpitalu św. Łazarza, i S. Cecylia Gierlińska, które w przeciągu tych czterech lat pielęgnowały, karmiły i zaopatrywały chorego Fedorowicza, mogą także zaświadczyć, w jakim stanie ciągle pozostawał chory Fedorowicz podczas ich pobytu w Założcach.

X. Stanisław Matraś,
Kapelan Sióstr Miłosierdzia.

NOWINY.

— **Z Rzymu** donoszą, że ubiegłej niedzieli podłożono bombę dynamitową pod drzwiami pałacu, w którym się znajduje klub gwardyi papiezkiej. Przed drzwiami gdzie bomba eksplodowała, znaleziono później niejakiegoś Józefa Riccini, człowieka liczącego 19 lat. Leżał on ciężko poraniony i na pół nieżywy. Odwieziono go do szpitala, gdzie musiano odjąć mu jednę nogę. Dotąd nie wiadomo, czy Riccini jest sprawcą zamachu, czy też przechodził tylko obok pałacu w czasie, kiedy bomba eksplodowała. Śledztwo zostało już wytoczone i sprawa cała zapewne niebawem się wyjaśni.

— **Żebrak mordercą.** Okropny wypadek zdarzył się w Prywatnych Łękowcach pod Czerniowcami. Wieśniak tamtejszy Dymitr Werenka pracował w polu. Żona poniosła mu tam obiad, w chacie zaś pozostał tylko 9-letni synek. Wówczas zakradł się do chaty niepostrzeżenie żebrak i zabrawszy z komory rozmaite przedmioty, wymknął się z domu. Atoli chłopiec Werenków spostrzegł go już w progu i zastąpił mu drogę. Dziad schwytany na gorącym uczynku, nie namyślał się długo. Porwał chłopczynę za głowę, tułów ścisnął mu kolanami i dobywszy nóż z za pasa, przeciął dziecku gardło. Werenkowa wracająca właśnie z pola, widziała tę okropną scenę i poczęła wołać o pomoc. Zbiegli się ludzie i mordercę schwytali. Chłopiec zginął na miejscu. Żebrak zowie się Iwanem Raczkowskim i ma pochodzić z Zastawny. Odstawiono go do sądu w Sadogórze.

— **Wyrok śmierci.** Przed trybunałem przysięgłych stawała w tych dniach w Czerniowcach włościanka z Rarańcza, Aleksandra Stancer, oskarżona o zamordowanie własnego męża z zazdrości. Podsądna przyznała się do winy, a trybunał na mocy werdyktu przysięgłych zasądził ją na karę śmierci przez powieszenie.

— **Włochy.** Święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, które u nas przełożono na następną niedzielę, obchodzi się tu w Rzymie uroczyście jako jedno z największych świąt kościelnych, mimo iż masoński rząd włoski święto to urzędownie zniósł. Wedle starego zwyczaju w wilią święta pobożni urządzają iluminacyą i oświetlają obrazy i figury Matki Boskiej umieszczone w murze domu. Przed tymi obrazami schodzą się wieczorem domownicy i sąsiedzi i odmawiają wspólnie różaniec i litanią do Matki Boskiej. Tego roku kilku zażartych wrogów Kościoła i tego pobożnego zwyczaju, jadąc po ulicach, rzuciło przed jeden z takich obrazów bombę, która też eksplodowała, ale na szczęście nie raniła nikogo. Do takich to środków uciekają się zażarci nieprzyjaciele Kościoła: *masonowie* i ich *usłużnicy.*

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
10	*Nied. 16 po S. Im. NP.* Mikołaja. ◐	5	12	6	3
11	Pon. Prota, Jacka m. i Teodory.	5	13	6	—
12	Wt. *Zwyc. nad Turk.* Waleryana.	5	15	5	58
13	Śr. Aureliusza biskupa.	5	17	5	56
14	Cz. *Podwyższenie św. Krzyża.*	5	18	5	54
15	Piąt. Nikodema, Emila i Melity m.	5	20	5	52
16	Sob. Ludmiły m. i Edity p.	5	21	5	50

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 5 września.

Płacono: za pszenicę białą starą od 8 złr. 60 ct. do 8 złr. 75 ct., za czerwoną starą od 8 złr. 60 ct. do 8 złr. 80 ct., za żółtą starą od 8 złr. 60 ct. do 8 złr. 80 ct., za żółtą nową od 8 złr. — ct. do 8 złr. 50 ct., za żyto stare od — złr. — ct. do — złr. — ct., za żyto nowe od 7 złr. — ct. do 7 złr. 30 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. — ct. do 7 złr. 75 ct., na kaszę od 6 złr. 25 ct. do 6 złr. 50 ct., za owies nowy od 6 złr. 35 ct. do 6 złr. 50 ct., za rzepak od 13 złr. — ct. do 14 złr. — ct. Wszystko za 100 kilogramów.

☞ Redakcya *Krakusa* od 1-go września b. r. przy **ulicy Straszewskiego l. 22.** Pod tym adresem prosimy odtąd przesyłać wszelkie listy i pisma do Redakcyi.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.